NUMER 9. LWÓW, DNIA 15. CZERWCA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

Historya małpki.

(z rosyjskiego).

(Dokończenie.)

Lulu ubrano w śliczny kostium: czerwony mundur ze sznurami, spodeńki, kapelusz z piórem i wysokie buty. W rękach miała laskę i siedząc obok woźnicy na kożle z dumą spoglądała w około.

Podczas żniw, gdy gospodarz szedł daleko w pole, Lulu przynosiła mu śniadanie. Przy tej czynności tylko psy zamącały jej spokój. Zoczywszy je zdaleka, biegła już jak opętana, zapominając, że w swej liberyi powinna występować z godnością. W ślad za nią rozlegało się głośne szczekanie jej odwiecznych, nieprzejednanych wrogów.

VI.

„Lulu, Lulu gdzie ty?“, wołała wesoło Janinka, „dostaliśmy malutkiego braciszka!“, Lulu odbywała właśnie poobiedną drzemkę. Wyciągając się, leniwie podniosła głowę i z nieufnością spojrzała na dziewczynkę. Janinka stała we drzwiach rozpromieniona, rozradowana i wabiła Lulu ręką. Małpa poszła za nią do pokoju obok sypialni. „Janinko, cóż ty wyprawiasz, nie dasz usnąć niemowlęciu“. I niania pochyliła się nad maleńką kołyską.

„Nianiusiu, droga, pozwól Lulu choćby jednem oczkiem zobaczyć go“.

Niania splunęła: „Fe obrzydliwość! też miałabym nieczystemu stworzeniu niemowlę pokazywać!“

„Lulu czysta“, — obraziła się Janinka, ona z nami nawet obiad jada!“ I Janinka nieodstępnie błagała starą nianię, obejmowała i całowała ją. Zniecierpliwiona niania wyjęła nareszcie, z kołyski malutkiego chłopczyka. Małpka była zdumiona — takie to było nieporadne, bezbronne! Przypomniała sobie, że dawno, dawno jeszcze w swojej ojczyźnie i ona miała dziecię. I takie same ono było niedołężne. I Lulu wzruszona chciała się zbliżyć do maleństwa, ale niania odepchnęłu ją i włożyła dziecko do kołyski.

Minęło kilka tygodni. Zmrok już zapadał. Cała rodzina siedziała na werandzie, spożywając podwieczorek. Powietrze przesiąknęte było wonią róż i rezedy. Cisza była wokoło. Niania zostawiła małego Miecia w kołysce i poszła do kuchni na kawę. Wtem przybiega zdyszana na werandę, rzuca się przed panią na kolana i z płaczem mówi: „Nieszczęście się stało, niema go, niema naszego aniołka nigdzie. Znikł Miecio“. Wszyscy podskoczyli ze swoich miejsc. Matka, szlochając, szukała we wszystkich pokojach i kątach, ale po bezowocnych poszukiwaniach upadła zemdlona.

Ojciec dawał rozkazy, kazał zaprzęgnąć powóz, posłał po lekarza. Ludzie z latarniami przeszukiwali ogród. Dzieci stały przygnębione i mówiły do siebie szepcząc.

„Nianiusiu — odezwała się Janinka — a może to Lulu uniosła Mietka?“

„Co ty gadasz, po co małpa by go wzięła?“

Ale Janinka nie dała za wygrane i zmusiła nianię by poszła z nią na strych. W półmroku spostrzegły one Lulu. Siedziała na ziemi i trzymała ostrożnie jakieś zawiniątko. Niania stanęła, aby nie przestraszyć Lulu. Małpka ze wzruszeniem oglądała chłopczyka, tuliła do siebie jego różową twarzyczkę, całowała i pieściła. W oczach niani były łzy. Franek zamknął przedewszystkiem okienko, aby małpa nie mogła wyskoczyć. Niania stanęła u drzwi. Janinka cicho, bez szmeru zbliżała się

do Lulu. Ale małpa miała wyśmienity słuch, z gniewem spojrzała na Janinkę, poszła do okienka, nie znalazłszy jednak wyjścia wróciła w kierunku ku drzwiom. Dziecko było zbyt ciężkie i Lulu z trudem się poruszała. We drzwiach niania ją przytrzymała i odebrała Miecia.

Za tę psotę Lulu została ukaraną. Nie dość jednak, rodzice postanowili oddać ją z domu. Znowu nastąpiły dla Lulu ciężkie czasy. Naprożno dzieci wstawiały się za nią, naprożno Lulu sama wzrokiem pełnym skruchy prosiła o przebaczenie. Biedna małpka usychała ze zmartwienia. Tylko Janinka pieszcząc ją ukradkiem. mawiała: „Biedna ty, za co ciebie męczą? Czy w tem twoja wina, że kochasz Miecia i że jesteś takim łobuzem".

Znów minął tydzień. Był śliczny gorący dzień. Malutki Miecio słodko spał we wózku na werandzie, z pończochą w ręku siedziała przy nim niania.

„Cóż to za natręty te muchy, trzeba wciąż je odpędzać, pójdę po muszlinową chusteczkę". Staruszka niania wstała i weszła do pokoju. — W krzakach bzu obok werandy schowała się figlarka Lulu. Aby nie zdradzić się, siedziała nieruchomo. Tylko oczy jej niespokojnie biegały i ciągle zatrzymywały się na twarzyczce chłopczyka. Ledwo niania odeszła, Lulu porzuciła swoją kryjówkę, a oglądając się na wszystkie strony podbiegłado wózka i wzięła dziecko na rękę. Nagle w twarzy jej odzwierciedliło się przerażenie: na ścieżce ogrodowej pędziła Żuczka ze spuszczonym ogonem i pochyloną głową. Oczy Żuczki były mętne, na ustach pokazywała się piana. Pies biegł wprost na werandę. Lulu skoczyła w śmiertelnym strachu na ławkę, nie wypuszczając z rąk swojego ciężaru. Z ogromnym wysiłkiem, bo Miecio był jej niepomiernym ciężarem, wydrapała się na gałąź starej lipy i stamtąd już nieco spokojniejsza oczekiwała co się stanie. Żuczka uderzywszy się o poręcz werandy, skatulała się jak piłka ze schodów i popędziła dalej. Niania wróciwszy z welonem zobaczyła pósty wózek i uciekającą wściekłą Żuczkę. W pierwszej chwili stanęła jak wryta, z szeroko rozwartemi oczyma, wnet zobaczyła jednak Lulu, siedzącą na grubej gałęzi i tulącą kurczowo małego Miecia. Tym czasem już biegli ludzie na spotkanie Żuczki, wszystkim przewodził ojciec Miecia ze strzelbą w ręku.

Chwiejnymi krokami przystąpiła niania do drzewa. Lulu oddała jej, nie sprzeciwiając się dziecko. W twarzy jej był wyraz cierpienia. Nianię obstąpili dorośli i dzieci.

Wszyscy chcieli zobaczyć uratowanego Miecia. Tym razem Lulu oddała wielką przysługę, ale mimo całej wdzięczności nikt nie zwracał na nią uwagi. Ciągle siedziała na gałęzi i od czasu do czasu cicho jęczała. Janinka pierwsza zajęła się nią. „Lulu jakaż ty dobra, czy wiesz co dla nas zrobiłaś?" Ale Lulu dalej jęczała, biedactwo okropnie cierpiało. Wyłażąc na drzewo Lulu zraniła sobie rękę.

Janinka pomogła jej zejść. Lekarz zaproszony do Miecia (obawiano się, że dziecko się zlękło) zbadał Lulu. Biednej małpeczce musiano wprawić zwichniętą rękę. Utkwiła ona swoje łagodne, rozumne oczy w lekarza i głęboko wzdychała. Jej cierpliwość wzbudzała podziw wszystkich obecnych.

Lulu wyzdrowiała. Po tem zdarzeniu wolno jej było zawsze i o każdej porze przychodzić do dziecinnego pokoju. Miecio już trochę większy obejmował ją, wywracał razem z nią koziołki na dywanie, a Lulu godziła się z pobłażliwością na wszystkie jego zachcianki.

Od starszych dzieci małpa dostała order z napisem: „za uratowanie ginącego".

Dorośli zachowali dla niej wdzięczność i często mówili do Miecia: „Lulu, to twoja druga piastunka".

Tylko Kastor nie zmienił swych uczuć dla niej i zawsze witał ją głośnem szczekaniem.

O czem Ludwiś z Witoldem rozmawiał.

Chuch! Chuch! Dzieci po kolei próbowały, które mocniej chuknie i zabawa szła w najlepsze. A chuchano na małe kawałki różnokolorowej żelatyny, ozdobionej obrazkami i napisami.

— Chuch! — za każdem chuchnięciem, żelatyna w tył się odginała i chwilkę tak była wypięta — chuchano w drugą stronę, to prędko się odginała

Wreszcie znudziła się zabawka, Janek pierwszy odstąpił od stołu i wskoczył na grzbiet drewnianego konika, wkrótce potem Ludka przypomniała sobie, że lalka niczego dziś jeszcze nie jadła i trzeba ją „niby" nakarmić. Ludwiś jeden siedział dalej przy stole, ale nie chuchał już, tylko podparłszy główkę na rączce, myślał.

— Patrzcie, najstarszy się najdłużej bawi takiemi głupstwami — zawołał Janek.

— Nie! on myśli teraz o niebieskich migdałkach — zaśmiała się Ludka.

— Myślę tylko, czemu to żelatyna tak się zwija — odparł Ludwiś i chuchnął znowu.

— Bo chuchasz!

— Tak! ale dlaczego?

— Bo, bo — ee! głupstwo! — i Ludka zaczęła nie na żarty porządkować garnuszki.

— Może dlatego że chuchanie robi wiatr? — wypowiedział Ludwiś półgłosem, więc począł dmuchać i powiewać zeszytem niby wachlarzem — ale to wcale nie wiatr, tylko, tylko...

— Tylko c i e p ł o — zawołał wesoło Witold cioteczny brat Ludwisia, który był już taki duży dorosły, że chodził do szkoły, która nazywa się uniwersytetem i uczył się tam na doktora.

To mówiąc, porwał Witold prędko żelatynę i przybliżył ją do pieca — żelatyna zwinęła się

prędziutko, jak gdyby chciała odchylić się od pieca.

— Widzisz, to ciepło rozszerzyło ogrzaną stronę, a ponieważ druga strona jest chłodniejszą, więc rozszerzyć się nie mogła; przeto żelatyna wygięła się rozszerzoną stronę na zewnątrz. Odstąpmy od pieca — rozgrzana strona żelatyny chłodnieje, o widzisz! już się żelatyna wyprostowała, już obie jej strony równe są, bo równą mają temperaturę.

Zresztą nie tylko żelatyna ogrzana rozszerza się i żelazo także i szło, i wogóle wszystkie rzeczy rozszerzają się pod wpływem ciepła. Pamiętasz jak tatuś nie mógł odetkać onegdaj flaszeczki, bo szklany korek za mocno siedział? Potrzymał tatuś chwilkę szyjkę flaszeczki nad świecą i wtedy z łatwością mógł korek wyjąć.

— Więc tatuś to na to robił aby się szyjka flaszeczki rozgrzała i rozszerzyła?

— Oczywiście.

— Tak, ale dlaczego korek nie rozgrzał się równocześnie?

— Gdyby tatuś był dłużej flaszeczkę nad świecą trzymał, byłby się zapewne i korek rozgrzał i równo z szyjką rozszerzył i praca byłaby poszła na marne, ale tatuś trzymał flaszeczkę tak długo tylko, by się szyjka rozgrzać mogła i wyciągnął korek zanim ciepło do niego doszło. Gdyby odkorkowawszy flaszkę, ogrzano korek w garnuszku ciepłej wody, a flaszeczki nie ogrzano, z pewnością rozszerzyłby się korek na tyle, że nie zmieściłby się do szyjki, i trzebaby czekać aż wystygnie, by módz flaszeczkę zakorkować. Z takiego rozszerzenia przez ciepło korzysta kowal gdy okuwa koła u wozu — trudnoby mu było ciasno, jak należy, obręcz na koło nałożyć, więc rozgrzewa ją mocno i tak rozgrzaną nakłada na gotowe z drzewa koło. Gdy obręcz wystygnie, zacieśnia się i mocno drewno obejmie. W ten sposób nakłada się zawsze żelazne obręcze.

Ludwiś pomyślał chwilę.

— Witoldzie, a coby było gdybym mocno ogrzał żelatynę?

— Stopiłaby się.

— Co? żelatyna stopiłaby się jak śnieg?

— Tak jak śnieg. Żelatyna topi się na płynną żelatynę, tak jak masło, na płynne masło. Dziwi cię to? Wszak i szkło się topi w silnym bardzo ogniu i żelazo także! Wszystko rozszerza się pod wpływem ciepła, rozszerza się, rozszerza coraz bardziej, gdy ciepło wzrasta, rzeczy twarde jak żetyna, szkło, żelazo itd. robią się coraz miększe i miększe, że je przelewać można z jednego naczynia w drugie, — zamieniają się w p ł y n y.

Żelatyna, masło, wosk, itd. łatwo się topią, ale by stopić żelazo potrzeba tak ogromnego ciepła, że wyobrazić je sobie trudno. Kawałek drzewa wrzucony do roztopionego żelaza, w okamgnieniu na popiół się spali.

(Dokończenie nastąpi)

NIE CHORUJ!

Napisał
Dr. med. Leon Bross.

(Dokończenie.)

Podobnie jak suchotami, można się zarazić i wszelkiemi innemi chorobami. Najlepszą bronią przeciw wszelkim bakteryom jest przedewszystkiem o g r o m n a c z y s t o ś ć, tembardziej, że bakterye nie tylko przez usta mogą się do człowieka dostać, ale i przez skórę. Dla tego proszę Cię kochany Jasiu, myj często ręce mydłem. Kąp się często. Staraj się o to, by ręcznik, którym się ocierasz, był możliwie jaknajczystszy. Nie wycieraj nigdy oczu brudną chustką. Jeżeli się przypadkowo zranisz, to najlepiej pozwól krwi spłynąć przez chwilę, bo ona, idąc od wewnątrz na zewnątrz, najlepiej spłucze wszystkie bakterye, które wraz z narzędziem, którem się skaleczyłeś do rany się dostały. Ranę dobrze jest umyć czyściutką przegotowaną wodą, lub kwasem borowym rozpuszczonym we wodzie i zawinąć czyściutką szmateczką albo watą. Zbytnia ciekawość i ciągłe odwijanie rany jest nie tylko zbyteczną, ale i szkodliwą, bo w ten sposób najłatwiej ranę bakteryami zanieczyścić. Skóra nienaruszona, cała, jest ogromnie odporną na bakterye, i bardzo rzadko się zdarza, by się bakterye przez nienaruszoną skórę przedostały. Zraniona skóra jest jakby otwartą bramą, przez którą bakterye z łatwością dostać się mogą. Najlepszym dowodem jest, że na skórze człowieka, zwłaszcza brudnego, roi się od najrozmaitszych szkodliwych i nieszkodliwych bakteryi. Skóra zaś nieuszkodzona jest zamkniętą bramą, i bakterye przedostać się przez nią nie mogą, korzystają jednak z pierwszej lepszej sposobności otwarcia się bramy, by wleść do człowieka. A jak się już raz do wnętrza dostaną, zaczynają wtedy hulać, dlatego nawet z najmniejszej zanieczyszczonej ranki można nabawić się ciężkiej choroby. Oczywiście zdarza się to ogromnie rzadko, ale zawsze lepiej i bezpieczniej pilnować się i utrzymywać czystość.

Uważaj też kochany Jasiu na to, by naczynia, któremi jesz, były czyste. Jeżeli ktoś jest w domu chory, powinien mieć osobne naczynia do jedzenia. Podczas choroby zaraźliwej, jak szkarlatyna, dyfterya, tyfus, odra i t. d., chory powinien leżeć w osobnym pokoju. Nikt się nie powinien stykać z nim oprócz tych, którzy go pielęgnują. Ci którzy się z takim chorym zetkną, powinni za każdym razem umyć ręce, by nie zarazić siebie, lub innych, a nawet powinni ubranie zmienić. Po chorobie powinno się cały pokój wraz z rzeczami d e z i n f e k o w a ć, to znaczy zabić bakterye, które w pokoju chorego się znajdują. A zabić je można przez dokładne oczyszczenie pokoju i wszystkich rzeczy, pewnymi płynami lub gazami, od których bakterye giną.

Nie tylko na czystość naczyń uważać trzeba przy jedzeniu. Należy wystrzegać się też wszelkich zepsutych pokarmów i napojów i nadgniłych owoców. Owoce jedz tylko obrane, bo na łupach znaleziono bardzo wiele bakteryi.

Nie powinieneś też pić mleka prosto od krowy. Bo bywają krowy chore na suchoty, w których mleku mogą się znajdować bakterye gruźlicze. Mógłbyś je wraz z mlekiem połknąć, i nabawić się gruźlicy żołądka lub jelit. Dla tego trzeba zawsze mleko przegotować, bo w gotowaniu bakterye giną.

Jak się z tego listu, kochany Jasiu, przekonałeś, mają bakterye najłatwiejszy przystęp do człowieka przez usta, bo to jest otwór, którym się można dostać i do płuc i do żołądka. Dla tego nie zdziwi Cię, gdy na końcu tego listu jeszcze raz Ci przypomnę, że usta trzeba koniecznie jaknajczyściej utrzymywać. Już radziłem Ci, żebyś rano wymył zęby szczoteczką, jeszcze ważniejszem jest jednak mycie zębów przed spaniem. Przy każdem jedzeniu bowiem część pokarmów dostaje się między zęby, a leżąc tam całą noc, może gnić. Resztki pokarmów gnijąc, psują bardzo zęby. Dla tego należy jeszcze oprócz tego po każdem jedzeniu usta dobrze przepłukać. Jak wiesz nie można zepsutemi zębami pokarmów dobrze zgryźć, a to przecież, jako ułatwienie dla dalszej pracy żołądka jest bardzo ważne.

Jeszcze większe znaczenie ma to, że w zepsutych zębach najdłużej zatrzymują się nie tylko resztki pokarmów, ale i najrozmaitsze bakterye, i że zepsute zęby bywają bardzo często otwartemi wrotami, przez które się rozmaite bakterye do człowieka mogą dostać. Jak wiesz nie jest to obojętnem.

Kochany Jasiu z całego tego listu mogłeś się przekonać, że najważniejszą bronią człowieka przeciw wszelkim chorobom jest szanowanie zdrowia i czystość.

Na końcu proszę Cię, by w razie gdybyś czego z tego listu nie zrozumiał, lub Ci co było nie dość jasnem, nie wstydził się zapytać mnie o to, a chętnie wszystko Ci jeszcze wyjaśnię.

Na pożegnanie ściskam Cię serdecznie i życzę dobrych postępów w nauce

Twój

tatuś.

Stanisław Kramsztyk.

Korek na ostrzu szpilki.

(Przedrukowane za zezwoleniem autora.)

Każdemu znana jest zabawka, przedstawiająca figurkę, która bardzo swobodnie stoi na jednej nóżce, jak to widzimy na załączonej rycinie (fig. 1). Kołysze się w jedną lub drugą stronę, ale nigdy nie upada. Dziwimy się słusznie takiemu bezpieczeństwu figurki, wiemy bowiem, że ciała podparte stoją tem bezpieczniej, im większą mają podstawę; gdy podstawa jest wązka, nie mogą się utrzymać ani na chwilę, albo się też za najlżejszem potrąceniem wywracają.

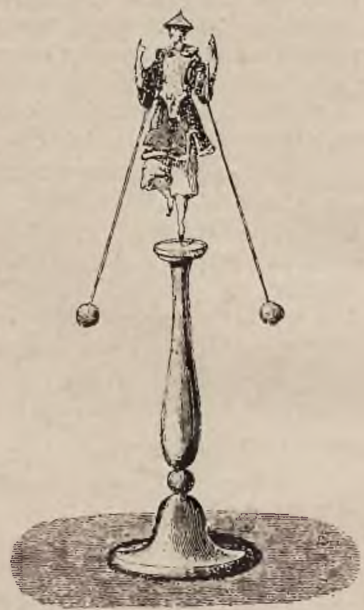


Fig. 1.

Jest to rzecz bardzo jasna, każde bowiem ciało posiada swój środek ciężkości, to jest punkt, w którym niejako ciężar całego ciała jest skupiony; aby więc ciało nie upadło, czyli pozostawało w równowadze, trzeba, aby jego środek ciężkości był podparty, aby się zatem znajdował nad podstawą. Gdy podstawa jest szeroka, ciało może się nawet dosyć znacznie przechylać, a środek ciężkości jeszcze się z nad podstawy nie usuwa, ciało zatem wraca do swego położenia i nie upada. Gdy zaś podstawa jest bardzo wązka, już za najsłabszem pochyleniem środek ciężkości po za nią się wysuwa, a ciało musi upaść. Figurka jednak nasza stoi dobrze na jednej nóżce, nieledwie na druciku.



Fig. 2.

A co więcej nas jeszcze dziwi, dźwiga ona u rąk dwie ciężkie kule, — nietylko więc sama pozostaje w tak osobliwej równowadze, ale nadto utrzymuje dwa ciężary i to dość znaczne. Spróbujmy wszakże kule te odczepić, a figurka natychmiast upadnie.

Utrzymuje się więc w równowadze jedynie przy pomocy tych kulek. Rzeczywiście w porównaniu z figurką mają one ciężar dosyć znaczny,

a stąd przesuwają jej środek ciężkości ku dołowi tak dalece, że przypada on nawet niżej, aniżeli punkt, w którym się figurka o podpórkę wspiera. Środek ciężkości znajduje się więc niżej, aniżeli punkt podpory, a figurka nie jest naprawdę podparta, ale raczej zawieszona. Ciało zaś w ten sposób zawieszone, choć się rozbuja, wraca zawsze do początkowego swego położenia i to nas bynajmniej nie dziwi. I figurka więc nie łatwo z podpórki swej spaść może, a bezpieczeństwo jej dlatego tylko uważamy za osobliwe, że wydaje się nam podpartą, gdy w samej rzeczy jest zawieszoną.

Tak samo i korka na ostrzu szpilki albo drucika ustawić nie zdołamy; gdy wszakże z obu stron wbijemy weń dwa widelce, utrzyma się na ostrzu tem bezpieczniej, bo znów będzie już zawieszony, chociaż wydaje się nam podpartym. Aby przekonać widza, że korek nie jest na szpilkę wbity, można na ostrzu umieścić monetę, a na niej dopiero ustawić korek z widelcami. Zamiast widelców użyć można dwu jednakich scyzoryków.

Można też korek ten ustawić na brzegu butelki (fig. 2), a chociaż z niej ciecz przelewamy i wstrząsamy nią, korka nie trącimy.

Sokół.

W skalistych i górzystych okolicach całej niemal Europy zauważyć można rankiem lub wieczorami bardzo, bardzo wysoko w przestrzeni, bo 400 i więcej stóp nad ziemią bujającego ptaka. Zatacza on w powietrzu olbrzymie kręgi, a gdy się chce spuścić na ziemię, to spada lotem strzały. To sokół. Sokół żywi się dzikiem ptactwem, gołębiami, dzikiemi kurami itp. Chwyta ptaka w locie, zatapia weń szpony i niesie go na skałę do gniazda, gdzie go spożywa. Przedni gatunek sokoła nie umie nawet schwycić siedzącego spokojnie ptaka. Wczesnym rankiem i późnym wieczorem wylatuje sokół na żer, przez cały dzień siedzi z napełnionem wolem w gnieździe i drzemie. Sokoły są ptakami przelotnymi, niektóre gatunki jednakże są tylko wędrowne. Sokół gnieździ się w dziórach skalnych, które wykłada delikatnymi korzonkami. Przez całe lato żyją sokoły parami, ale tak, że jedna para drugiej w pobliżu nie znosi, nawet nie znosi innego drapieżnego ptaka w najbliższej okolicy. Pod jesień, gdy nadchodzi pora odlotu lub wędrówki, zgromadzają się sokoły, lecą gromadnie i przez dwa lub trzy miesiące gromadnie żyją aż do powrotu do kraju i gniazda.



Chyżość lotu sokoła i zręczność, z jaką łów swój chwyta, naprowadziły ludzi już od dawien dawna na myśl przyswojenia sokoła strzelcom do pomocy. Już w 400 lat przed Chrystusem używano sokoły do łowów. W Azyi i Afryce czynią to po dziś dzień jeszcze. Zwyczajnie polowało się przy pomocy sokołów na ptactwo, szczególnie na czaple, celem zdobycia pięknych, czaplich piór. Sokół chwytał czaplę, ale nie zabijał jej. Strzelec wyrywał jej najpiękniejsze pióra, nakładał jej potem na nogę obrączkę metalową, na której wyrytą była data schwytania i puszczał ją na wolność. Zdarzało się, że po upływie paru lat dostawała się ta sama czapla w ręce strzelca i znowu

po wyrwaniu jej piór odlatywała swobodnie opatrzona drugą obrączką. Tak być mogło po kilka razy.

W 17 wieku posiadał król perski stado sokołów łowczych, złożone z kilkuset sokołów tresowanych rozmaicie. Jedne służyły do łowienia ptactwa, inne do łowienia odyńców, dzikich osłów, antylop, lisów itp.

Jak wysoko ceniono w dawnych czasach dobre, łowcze sokoły wnosić można z tego, że Turcy nie chcieli nawet za tysiąc złotych zwrócić królowi francuskiemu, Filipowi Augustowi sokoła, który mu uciekł podczas oblężenia. Innym razem nie chcieli za żadną cenę oddać Francuzom jeńców, ale gdy przyrzeczono im za to dwanaście dobrych sokołów łowczych, wypuścili ich natychchmiast. Karol V. oddał wyspę Maltę w lenno pod warunkiem, że rocznie dostawać będzie po jednym sokole.

W Polsce znajdowano sokoły najliczniej na Pomorzu, gdzie je też tresowano. Łowy sokołami uprawiano w Polsce bardzo gorliwie. Rycina nasza przedstawia szlachcica polskiego, wyjeżdzającego na łów z sokołem na ręku.

Nasz przyjaciel „Jean Pierre".

W Paryżu wychodzi pisemko dla dzieci, podobne do naszego Promyka. To pisemko urządziło niedawno zabawę ogrodową dla paryskich dzieci. Redakcya „Promyka" posłała czytelnikom paryskiego pisemka w swojem i waszem imieniu życzenia dobrej zabawy i pozdrowienia. W odpowiedzi dostaliśmy taki telegram: Dziękujemy za życzenia. Życzymy powodzenia „Promykowi".

W ostatnim numerze tej gazetki czytamy sprawozdanie z zabawy. Piszą tam i o naszych życzeniach, kończąc temi słowy:

„Ponawiamy podziękowania nasze *Promykowi*, zasyłamy bratnie pozdrowienia małych Francuzów z *Jean Pierre* dla polskich kolegów.

„*Jean Pierre* czuje się szczęśliwym, że ma młodego brata za odległą granicą — ufa, że raz zawiązane stosunki przyjaźni, zacieśnią się coraz bardziej.

„Tak więc nauczymy się kochać wzajemnie mimo różnicy obyczajów i języka, którym przyjaźń zapewniamy sobie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Elżbiecie S. w Nižborgu. Niechaj Elżbietka poczeka cierpliwie — przyjdzie kolej i na jej zagadkę.

Leonowi M. Dziękujemy za nowe zagadki.

Renée A. w Przemyślu. Nagrodę dajemy tylko za najstaranniejsze trafne rozwiązanie obydwu zagadek zamieszczonych w numerze poprzednim. Niech się Renée stara obydwie zagadki rozwiązać, a pewnie przyjdzie kolej i na nia by dostać nagrodę.

Nagrodę za trafne rozwiązanie zagadek dostał tym razem Artur B. z Przemyśla.

Zwracamy uwagę czytelników, że »Promyk« tylko abonentom swoim posełą nagrody za rozwiazaaie zagadek.

Od Redakcyi.

W nagrodę za rozwiązanie zagadek przeznaczamy obręcze do rzucania (cerceau).

Rozwiązanie zagadek z nr. 8.

Łamigłówka:

1	**P**	i	l	z	n	o
2	K	**r**	a	k	ó	w
3	Z	b	**o**	r	ó	w
4	T	ł	u	**m**	a	cz
5	Ł	a	ń	cz	**y**	n
6	G	r	ó	d	e	**k**

1	**P**	e	r	s	y	a	1
2	A	**r**	a	b	i	a	2
3	W	ł	**o**	c	h	y	3
4	N	i	e	**m**	c	y	4
5	T	u	r	c	**y**	a	5
6	M	e	k	s	y	**k**	6

Szarada:

Kąt — kit — kot — kat.

Rozwiązanie zagadek nadesłali:

Artur B. z Przemyśla, Marya Ch. z Tarnopola, Staś S. z Przemyśla, Karolek M. z Przemyśla i Teresa H. z Brodów, Wilhelm S. ze Stryja i Lusia L. z Tarnopola.

Tylko szaradę rozwiązali: Jadwisia J. ze Lwowa, Elisa R. z Tarnopola, Elżbieta S. z Mysłowiec, Renée A. z Przemyśla.

Zagadka

nadesłana przez Leona M. w Stanisławowie.

Z »l« jest ptakiem
Błotniakiem
Rybkom niebezpieczny
Z »k« ją zdejmie
Uprzejmie,
Przed starszym kto grzeczny.

Łamigłówka

nadesłana przez Białą Lilijkę ze Lwowa.

Jak należy podzielić tysiąc dwieście dwanaście aby otrzymać dwanaście?

Kącik dla małych dzieci.

OBRĘCZE.

Mania i Zosia miały drewniane obręcze. Gdy szły do ogrodu, brały je zawsze ze sobą.

Zosia była maleńka i nie umiała toczyć kółka. Popchnęła je — ale zanim zdołała uderzyć laseczką, bęc! upadło na ziemię! Popchnęła je drugi raz — a obręcz kiwa się to w prawo, to w lewo i bęc! — leży znowu!

Wiecie czemu?

Bo Zosia nie trzymała spokojnie rączki. Rączka jej drgnęła — i obręcz wykręciła się w tę samą stronę.

Przecież obręcz tylko tam pójdzie, gdzie się ją popchnie — sama z siebie nie skieruje się gdzieindziej.

Mania zaś toczyła ślicznie swą obręcz. Szła ona i szła prościutko bez końca. Dziwnie jak Mania to dobrze umiała! Bo Mania była mądrą dziewczynką i wiedziała dobrze, że obręcz ani na chwilkę w miejscu nie ustanie — upadłaby zaraz s t r a c i ł a b y r ó w n o w a g ę. Więc aby obręcz mogła toczyć się prościutko, musi być ciągle w r u c h u.

Ruch nadaje jej rączka, gdy z początku obręcz popycha, a potem patyczek, który miarowo w nią bije!

Zosia zobaczyła, jak Mania toczy obręcz. Z początku nie umiała bić pałeczką prosto — tylko zawsze w bok biła i dlatego nie szła jej dobrze zabawa, bo obręcz zataczała się i upadała wiecznie, ale w krótce sama się tego nauczyła.

Odtąd biegły dziewczynki zawsze razem po ogrodzie. *B*

Podziemny mieszkaniec.

Pod ziemią zagospodarował się kret. Nikt by się nie domyślił, że obrał on tam swoje mieszkanie. W ogrodzie spokojnie przechadzali się ludzie i dzieci bawiły się w piasku. Na trawie rosły prześliczne, różnobarwne kwiatki.

Wtem ziemia ruszać się poczęła. Co się stało? Piesek zdziwiony przystaje i patrzy, ptaszek, który właśnie opodal ziarnko dzióbnął, uleciał przestraszony. Cóż to znowu? Ziemia rusza się i powoli układa się w maleńki pagóreczek, tak, jakby dzieci kopiec sypały — ale dzieci nie było w pobliżu.

Wkrótce pagórek stanął, ziemia ruszać się przestała, ale za to na innem miejscu nowy pagórek wzrastał, tym razem w środku grządki niezabudek i gwoździków. Zachwiały się biedne roślinki, zakołysały i buc — upadły na ziemię.

Zobaczył to ogrodnik i bardzo się rozgniewał.

— Ty nieznośny szkodniku! — zawołał. a właśnie łopatę w ręku trzymał, więc pospiesznie włożył ją w sam środek nowego kopca, tam, gdzie się ziemia najbardziej ruszała. Wyciągnął ją po chwili i odrzucił na bok kilka grudek świeżo skopanej ziemi i szamocząceg się kreta.

Mały był on i śliczniutki, w ciepłem, mięciutkiem futerku, czarnej aksamitnej sierści. Wydobyty nagle z pod ziemi, zmrużył małe swe już z natury oczęta, bo światło bardzo go raziło. Szyjkę taką miał króciutką, że prawie widać jej nie było, a uszka wtulił mocno pod sierścią, aby ich piasek zasypać nie mógł, przy uciążliwej podziemnei pracy.

— Dużo was tam, szkodniki pod moją trawą się kryje? – wołał zagniewany ogrodnik.

Kret popatrzał na niego ździwionemi oczkami. Ogrodnik zobaczywszy go, zastanowił się i zrozumiał, że się przecież nie ma o co gniewać, bo kret ludziom krzywdy nie robi. To prawda, że przed chwilą właśnie wyrządził ogrodnikowi szkodę, że zburzył mu kląb cały i poprzewracał rośliny, ale stało to się przypadkiem.

Pod kląbem właśnie nagromadziło się dużo robaków — to są prawdziwe szkodniki. Poobgryzałyby one z pewnością korzonki roślin i zniszczyłyby je doszczętnie. A roślinka bez korzeni, które jej wodę z ziemi pzewodzą, żyć nie może, tylko usycha i ginie. Kret poczuł, że w tem miejscu znajdzie się wiele robaków, więc poszedł w tę stronę, bo on się tem robactwem żywi. Za robaczkami idąc, porzucił swoje mieszkanko. Mieszkanko kreta pod ziemią się znajduje i składa się z dwóch chodników okrągłych jakby koło; jeden wyżej, drugi głębiej w ziemi leży, niby par-

ter i pierwsze piętro. Inne chodniki, jakby schodki, piętra te łączą ze sobą.

Z mieszkania tego wychodzi kilka długich chodników, które kret zawsze kilka razy dziennie troskliwie przebiega. Jeżeli znajdzie co do jedzenia podczas wycieczki takiej, posila się, i dla żony swojej, która z dziećmi w domku została zanosi też smaczny kąsek. Dziś jednak wcale mu szczęście nie sprzyjało. Kret namyślił się, co począć i poczuwszy moc robaczków uzbieranych pod trawnikiem, postanowił dostać się do nich.

Nie łatwa to była sprawa, bo gruba warstwa ziemi oddzielała go od nich, więc musiał kret nieborak nowy chodnik zbudować.

Do ciężkiej tej pracy nie miał żadnych narzędzi. Ani motyki, ani łopaty do kopania ziemi, ani grabli do odgartywania jej z drogi, ani taczek do wywożenia. Nic zgoła.

Ziemię rył noskiem wydłużonym w długi ryjek, a odgartywał ją przedniemi łapkami. Smieszne są przednie łapki kreta, króciuchne, wykrzywione, a takie silne, jak małe łopałeczki. Na końcu łapki ma kret mocne pazurki, którymi ziemię dobrze rozdrapywać umie. Czasem pomagał sobie pyszczkiem. Tak to każdy kret robi podziemne chodniki. Kret nie ma gdzie wyrzucić skopanej ziemi, więc wypycha ją pod górę, dlatego na trawniku, nad mieszkankiem lub chodnikiem kreta robi się pagóreczek.

Nasz kret już bliskim był robaczków, gdy go łopata ogrodnika nielitościwie na trawę wyrzuciła.

Dużo ludzi nagromadziło się koło ogrodnika, a on coś z nimi rozmawiał.

Tłómaczył im, że kret niszczy te robaczki, które szkodzą roślinkom i dlatego go ogrodnik bardzo lubi. Ale nie może przy nim zachować gładziutkiego trawnika lub klomba, bo kret wszędzie górkę wyrzuci, a to nie ładnie w ogrodzie wygląda. Chciałby więc, aby się kret z ogrodu wyprowadził.

— Poradzę panu dobry sposób na to — rzekł Wojciech. — Włóż pan do dziury, w której się kret znalazł kawałek śledzia, szmatkę w nafcie umoczoną lub trochę kapusty. Kret nie lubi tych zapachów więc wyniesie się z ogrodu, gdy je poczuje.

Tak się też stało. Kret poczuwszy zapach niemiły, porzucił mieszkanie i wraz z rodziną swoją dalej powędrował. Poszedł pod śliczną łąkę i wkrótce zbudował sobie nowe, wygodne mieszkanko.

E. L.

Wiatrak.

Dzieci miały pójść z mamusią na przechadzkę, ale nie mogły znaleźć sobie zabawki do wzięcia ze sobą. Piłka zarzuciła się, a kółeczko pożyczył Antoś Jagusi z sąsiedztwa, która żadnej zabawki nie ma.

Już się dzieciom prawie na płacz zbierało i nawet traciły ochotę do przechadzki.

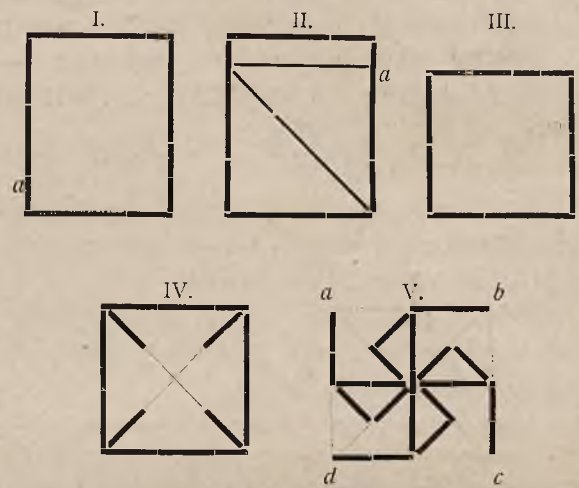
— Spieszcie się dzieci, nie martwcie się — rzekła mamusia — zrobię wam sama ładną zabawkę.

— Mamusia zrobi zabawkę? a z czego? — spytał trochę pocieszony Antoś.

— I mnie też! — prosiła Anielcia.

— I mnie też! — wołał Stefek.

— Mamusia wzięła ćwiartkę papieru (I.) dolny rożek (a) podgięła do góry, złożyła równiótko, a odcięła pasek papieru, który u góry został,

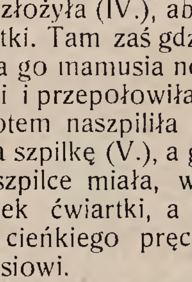


(II). tak, aby otrzymać równą czworogranną ćwiartkę (III). Tą ćwiartkę złożyła w skos jeszcze raz i potem napowrót rozłożyła (IV.), aby wiedzieć, gdzie jest środek ćwiartki. Tam zaś gdzie papier był złożony, ponadcinała go mamusia nożyczkami od rogów ku środkowi i przepołowiła w ten sposób każdy rożek (IV). Potem naszpiliła mamusia co drugi rożek papierka na szpilkę (V.), a gdy już wszystkie cztery rożki na szpilce miała, wepchnęła szpilkę przez sam środek ćwiartki, a potem wpięła ją lekko na koniec cieńkiego pręcika i oddała całą tę zabawkę Antosiowi.

— Wiataczek! — zawołał Antoś uradowany i począł biedz po pokoju. Gdy biegł, trzymając pręcik równiutko, wiatraczek obracał się jakby jaki młynek.

Mamusia zrobiła prędziutko jeszcze dwa takie wiatraczki i oddała dzieciom, obiecując zrobić im jeszcze przy następnej sposobności wiatraczki z kolorowego papieru.

Dzieci wyszły na przechadzkę z temi nowemi zabawkami i cieszyły się bardzo, gdy wiatr ich wiatraczki obracał.



Wydawc. i odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.